

by wypełnił je z całą dokładnością... Wskutek też tego musi się znaleźć na miejscu, na którym upadł. Czy zechce mi pan pomódz przenieść go tam?

Z chwilą gdy zmarły wskrzesi się, historia ta stanie się tem zabawniejszą i wywoła nową, choć zapewne innego rodzaju.

Nie namyślając się ani chwili, pomogłem nieznanemu wynieść na ulicę i ułożyć go na chodniku, poczem powróciliśmy do tego samego pokoju. Z nieopuszczającym go na chwilę spokojem wskazał mi krzesło.

— Siadajmy, panie Tielam i porozmawiajmy.

I ja miałem toż samo życzenie, niestety jednak myśli moje były tak rozprzeczłe, iż nie mogłem ich zebrać; nieznajomy widząc mój niepokój, odezwał się:

— Pan jest lojalnym obywatelem angielskim i to już może tłumaczyć mój szacunek dla pana; ponadto jednak pan oddał mi wielką przysługę w Czerwonym Pokoju.

— Panu, to był pan?

— Od chwili tej postępował pan jak prawdziwy gentleman o wielkim sercu... Pańskie zajęcie się biednym dzieckiem, które płacze...

Obraz Niele stanął mi przed oczyma.

— Ach! — zawołałem podniecony wspomnieniem sceny w pawilonie — dlaczego karać tak strasznie niewinną ofiarę?...

Nieznajomy mój aż podskoczył. Powieki nad oczyma drgnęły mu kilkakrotnie, wyraz cierpienia zamalował się na jego twarzy i tonem, który był w żywej sprzeczności z poprzednim jego usposobieniem, mówił powoli:

— Uczeni utrzymują, że działając, to zabijają. Na każdym kroku niszczy my całe masy stworzeń mikroskopijnych. Nie jesteśmy winni tych hekatomb, nie zdajemy sobie z nich sprawy i nie możemy im zapobiedz. W toczącej się walce są ofiary, których nie wolno mi oszczędzać, inaczej bowiem...

Przerwał swe słowa, potem wsrząsnął silnie głowę, jakby chciał odrzucić przykre myśli i ciągnął dalej:

— Pozostawmy to... poco twierdzić coś, czego nie można dowieść... Chciałem, by pan zebrał przy mnie materiały do doskonałego artykułu... okazałoby to, że nie jestem niewdzięczny. Co pan chce teraz wiedzieć? W jaki sposób ubezwładniłem służącego hrabiego Holsbeina?

Pochylił się ku oknu i spojrzał przez zakurzone szyby.

— Wkrótce powróci on do siebie. Mam jednak czas, by panu wszystko wyjaśnić. Czy zna pan *curare*?

— Jest to trucizna roślinna, którą zatrują swą strzałą niektóre dzikie narody... trucizna śmiertelna.

— Nie zawsze; rozcieńczona w eterze i wodzie curara, staje się tylko czasowym narkotykiem, dla którego za antidotum służy kofeina, zmieszana z sokami pewnych roślin. Od lekkiego nakłócia rurką, zmoczoną w curarze, człowiek pada bez czucia, po kilku jednak kroplach takiej kofeiny wstaje przekonany, że uległ tylko przelotnemu omdleniu.

Pociągając mnie do okna, rzekł:

— Widzi pan?

Spojrzałem na ulicę i przekonałem się, że służący już się podniósł, obmacując się ze zdziwieniem. Widać namyślał się nad tem, co mu się stało. Wreszcie przypomniał sobie coś... i zaczął przyglądać się chodnikowi, jakby szukał przedmiotu, o który się przewrócił. Nie znajdując nic, wzruszył ramionami i poszedł naprzód.

— Widział więc pan? powtórzył mój towarzysz.

Gdy potwierdziłem ruchem głowy, istotnie zmieszany tem wszystkim, na co patrzyłem od chwili zajmowania się szpiegostwem i szpiegami, on powrócił do opowiadania.

— Ma już pan teraz cośkolwiek, czemuż można zainteresować czytelników *Timesa*?

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu wobec tego zapytania.

— Bez wątpienia.

— Zajmie ich pan jeszcze więcej, gdy im pan powie, że w przeciągu dwóch dni widział pan trzy razy tego, kogo wrogowie nie oglądają nigdy.

— X 323?

— Tak.

— Trzy razy go widziałem?

— Niech pan liczy... Wczoraj na Prado ten starzec, który pana tak zaintrygował.

— On!

— Wczoraj wieczorem, gdy wychodził z Czerwonego Pokoju.

— A trzeci raz?

— W tej chwili...

Spodziewałem się tej odpowiedzi, a jednak zostałem jakby przytłoczony nią. Nic nie przypominało mi w tym młodym, żywym brunecie, nie starszym nad lat trzydzięście, tego siwego gentlemana z Prado. Zdawało mi się nawet, że są różnej postaci.

— Lecz który z nich prawdziwy? — szepnąłem, biorąc się rękami za głowę.

Rysy jego twarzy zdradzały powstrzymywaną weselość.

— Okazałem panu ufność, jakiej jeszcze nigdy dla nikogo nie miałem... Mówiono mi o panu w słowach...

— Kto? kto? zapytałem chciwie, widząc, że zdanie swe przerywa.



Niech go pan weźmie za nogi i wracajmy.

— Może wiatr... Chciałem jednym słowem mieć za przyjaciela tak prawdziwego gentlemana, jakim pan jest... Lecz pan pyta się, jaka jest moja prawdziwa twarz? Sam nie wiem... Na Prado byłem ja... teraz również jestem ja... Rzeczywistość nie istnieje dla człowieka... Czyż nie żyjemy w ciągłym złudzeniu?... Nie poznalibyśmy nawet tego, kogo znamy, gdybyśmy ujrzeli go w rzeczywistości; jakież znaczenie może mieć dla pana moja twarz... Moja myśl jest tylko prawdziwa i ona jest pańską przyjaciółką.

— I ja mam istotną sympatyę do pana.

— Bardzo mi to miłe, proszę mi wierzyć.

— Przed chwilą domyśliłem się z pańskich słów, że dzisiaj wieczorem idzie pan do Maurytańskiej Studni, by przychwycić...

— Holsbeina... wcale tego nie chcę ukrywać przed panem.

— A więc może mi pan okazać przyjaźń, o której pan mówił?

— W jaki sposób? Proszę, niech pan powie.

— Pozwalając mi iść z sobą.

— Niemożliwe... Będzie pan przeszkadzał.

Zmarszczyłem brwi. Zdawało mi się, iż *Times* ze wszystkimi współpracownikami zawrzałyby z gniewu, gdybym ja nie brał udziału w przedsięwzięciu, od którego zależy spokój Europy.

— Nie chcę pana oszukiwać. Pójdę tam koniecznie.

Nie zauważyłem na nim żadnej oznaki złego humoru. Ograniczył się do tej obojętnej odpowiedzi:

— Uważam, iż każdy może iść do Studni Maurytańskiej.

— Spodziewam się.

— Ale nie ze mną.

— Nie wiem, czy zdoła mi pan przeszkodzić... Towarzysz mój roześmiał się wesoło.

— Pan mnie jeszcze nie zna, a niech pan uważa, bo mogę pana złapać za słowo.

— Człowiek przestrzeżony, wart dwóch — odrzekłem pewny siebie.

— A więc ponieważ jest pan wart dwóch, to ma pan cztery nogi, proszę niemi dogonić moje dwie.

Jeszcze ostatnie słowo tego ironicznego zdania brzmiało w moich uszach, gdy X 323 już znikł. Przez sekundę myślałem, że rozwiął się jak chmura, wymknął się jednak w sposób zupełnie naturalny.

Pokój ten miał dwoje drzwi, jak zwykle w mieszkaniu stróża ogrodowego; jedno na ulicę, a drugie na ogród i tego właśnie nie zauważyłem, aż dopiero gdy usłyszałem w nich skrzyp klucza. X 323 zamknął mnie z tej strony. Początkowo chciałem rzucić się na te drzwi, by je wyważyć, lecz zanimbym zdołał to uczynić, on byłby już daleko. Wiem zresztą, gdzie go znaleźć. Wystarczy, bym się dowiedział, gdzie jest ta Studnia Maurytańska, a tam już spotkam się z nim i czy będzie chciał, czy nie, pomogę mu do odebrania dokumentu, skradzionego Anglii.

Pocieszony tą myślą, opuściłem pawilonik i szybko przebiegłszy ulicę Zorilla, wyszedłem na carrera San Geronimo, by dostać się do hotelu. Oprócz uczucia patryotycznego, pobudzała mnie do tego kroku i przyjemność, jakiej doznam, płatając figla tak sprytnemu człowiekowi, jak X 323.

V.

ZAPOMNIANA STUDNIA.

W hotelu udałem się zaraz do biura, gdzie młoda Hiszpanka o tańczących przy każdym kroku biodrach, liczyła coś ze swym pomocnikiem. Czyniąc to, przewracała melancholijnie omdlewającymi oczyma i z jakąś rozkoszą i czułością wymawiała:

— Pięć i cztery, dziewięć..... I osiem, siedemnaście... i sześć, dwadzieścia trzy... Tak, dobrze.

Oh! te Hiszpanki, które tyle namietności wkładają nawet w dodawanie suchych liczb!

Przerwałem jej.

— Niema listów dla mnie?

— Nie, senor.

— A propos, może mi pani powiedzieć, gdzie się znajduje Studnia Maurytańska?

Młoda panna obrzuciła mnie wniebowziętym spojrzeniem, jej pomocnik podniósł do góry brwi, iż stały się jak dwie arkady i oboje powtarzali półgłosem:

— Ach! Studnia Maurytańska!... Maurytańska Studnia!... Nie wiem.

— Czy pan jest pewny nazwy? — rzekła po chwili Hiszpanka, nadając swym żrenicom ruch wirowy, podobny do tego, jakim się ziemia kręci dookoła słońca.

— Pewny... Najzupełniej... Osoba, która mi o niej mówiła, jest zwykle dobrze poinformowana.

— W takim razie, senor, pójdziemy zaraz dowiedzieć się.

— Bardzo będę pani za to obowiązany. Poczekam w czytelnicy; mam kilka listów do napisania; odpowiedź będzie pani łaskawa przysłać mi tam.

— *A la disposition* — wyśpiewała najdźwięczniejszym głosem moja informatorka.

Wszedłem do sali. Dopiero dziesiąta godzina za kwadrans. Oto korzyści z раннего wstania. W trzy godziny przeżyłem tyle, iż starczyłoby to na zapełnienie w zwykłych warunkach piętnastu godzin.

(Ciąg dalszy nastąpi).